Różowe krowy i inne scandalie

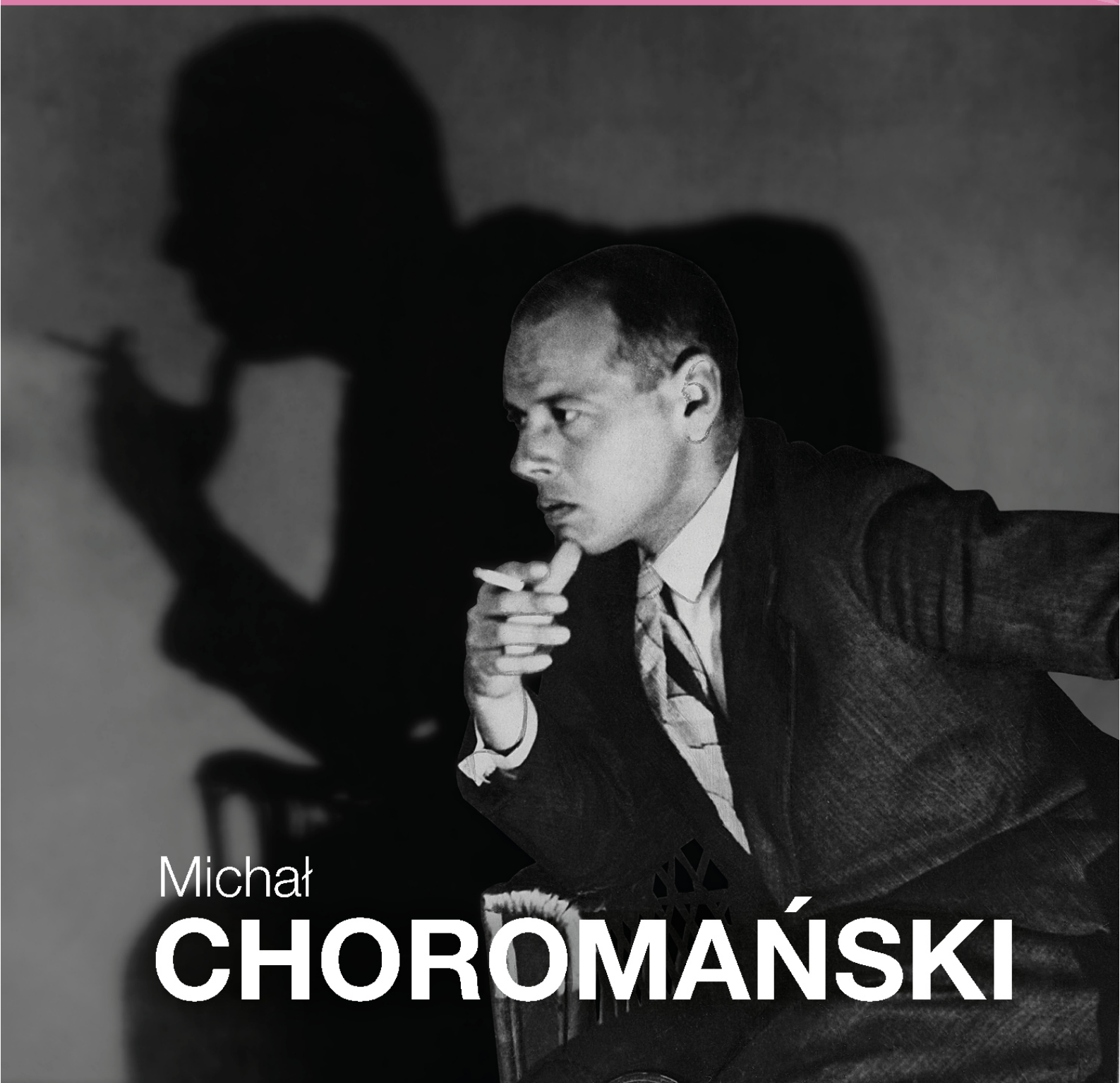

Michał
CHOROMAŃSKI

Michał Choromański

RÓŻOWE KROWY I SZARE SCANDALIE

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-61-6
Copyright © Michał Choromański
Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1970
Projekt okładki: Marcin Labus
Przypisy umieszczono w nawiasach kwadratowych

Spis treści

1. ŚMIEJMY SIĘ, MOŚCI PANIE I PANOWIE!

2. HERBARIUM

3. UPUDROWANI I OSOBLIWIE UCZESANI

4. PRZYGODA W SECESJI

1. ŚMIEJMY SIĘ, MOŚCI PANIE I PANOWIE!

I

W mieście była moc długich szarych parkanów, co to ciągnęły się nieraz wiele, wiele kroków od domku do domku, oraz dwóch tylko ludzi godnych uwagi. Leopold Amancjusz Baschalis i Szczęsny Dzierzbiłłowicz. Obaj byli herbownikami, obaj mieli dziedziczną skłonność do kielicha i niebaczenia na intraty, lecz obu dzieliła pokaźna różnica wieku, boć aż bez mała dwudziestu lat. 31-letni JWPan Baschalis (mający tarczę herbu przeciętą wpół), skory, jak się pokazało, do występnych spekulacyj umysłowych i teoryj, dudlił w tej sitwie na dudce bądź na pierwszych skrzypcach – mimo że JWPanu Dzierzbiłłowiczowi (posiadającemu nad koroną szlachecką złamaną gałąź palmową), tańcującemu pokornie pod to dudlenie, mijał akurat 50 rok życia. A więc bardzo dojrzały już człowiek, bezdzietny wdowiec, odegrywał bezwolną rolę cienia i pośrednika, wówczas gdy znacznie młodszy od niego jegomość, kawaler i mizoginista, był duszą tej bezecnej historii. Czy jednak nie za dużo powiedzieliśmy na samym, wstępie. Sprawozdawca prosi pod tym względem o zaufanie – scandalie, będące przedmiotem poniższego dzieła, miały przeróżne aspekty i kryły w sobie niespodzianki.

Charakterystyczną cechą tego miasta i okolic – a rzecz się działa prawie pół wieku temu, na jesieni – była przewaga dwóch kolorów. Różań i szarość. Różowe, ceglaną łuską kryte dachy oraz domki lub kamieniczki, najwyżej dwupiętrowe, tynkowane szarym tynkiem. Nieskończone mnóstwo szarych płotów, zwłaszcza na peryferiach, szare, nawisłe niebo jesienne, tudzież różowiejące na każdej uliczce i na pobliskich drogach jarzębiny. Na dworcu miejskim we mgle i dymie wystawały godzinami czerwieniejące się zestawy wagonów towarowych, a z boku w tym dymie różowiało oko semaforu. Miasto otaczał z trzech stron pas piaszczystej gleby, koloru podobnego do cementu; wieczorem, o szarym zmierzchu i słocie, brnęło uliczkami do domów stadko rudawych, a nawet różowiejących krów. Rude leghorny gdakały w podwórku zarówno Baschalisa, jak i Dzierzbiłłowicza, na tle pni ogołoconych już drzew, a na zszarzałych od deszczu ganeczkach i blaszanych parapetach tych posesyj pąsowiały przekwitające pelargonie i begonie. Różań i szarość. Takim był w kolorystycznym sensie anturaż bohaterów.

Ważniejszą sprawą, bo charakterystyczną dla ich pochodzenia, a może i dla układu psychicznego, były pewne szczegóły, na które można było się natknąć niemal od razu po wkroczeniu do ich domiciliów. W przedpokoju na przykład pana Baschalisa stał wiekowy kufer, obity różowawobrązową skórą i opasany mosiężnymi obręczami. Był bardzo piękny – ale o tym nie miałem najmniejszego pojęcia. Przeciwnie. Rozśmieszył mnie. – Śmieszny grat! – roześmiałem się, gdy razu pewnego odwiedziłem Baschalisa. – To nie jest bardzo modern. Dlaczego pan nie zrobi schowka na rzeczy, ma pan przecie grube woły…

Co to były za woły, wrychle zacznie się wyjaśniać.

– Jakie woły? – zdziwił się Baschalis i spojrzał w okno. Za oknem akurat przechodziło stado krów.

– Chcę powiedzieć, tfy, przepraszam… – poprawiłem się. – Taki grat to była bardzo niepraktyczna rzecz, co? Trzeba było niepomału się natrudzić i w nim grzebać, aż się doszukało tego, co leżało na dnie.

– O, w tym wypadku, czy na dnie, czy z góry, leży tam to samo – uśmiechnął się. – Wszędy smutek.

– To znaczy, jak to?

– A proszę zobaczyć.

Podniósł półokrągłe ciężkie wieko i zsunął na podłogę arkusz papieru do pakowania. W kufrze coś czerniało. Czerniało, a gdzie indziej bielało. Czarno-białe kraty. Czarno-białe paski. Tkanina – chyba wełniana, może kaszmir. Pan Leopold zdjął z haka wieszadło, coś w kufrze porozwijał, a potem podniósł prawe ramię wysoko do góry. Czarna dzwonkowata suknia kobieca zwisała z wieszaczka, wypełniając sporą część przedpokoju. Szare falbanki, z hebanu toczone guziczki. Wyjął jeszcze inną damską suknię, w tym samym czarnym, ponurym rodzaju. Te stare łachy trochę mnie ubawiły. Jakbym zgadł – chował to po prapraciotce. Powiedział mi to. Aleć w jakim celu; by śmierdziało naftaliną?

– Pan to chyba po to, by mole hodować? – roześmiałem się.

– Żałoba Narodowa Polek – odpowiedział.

– Co, żałoba narodowa?…

– W 1861 roku po 1863 kobiety chodziły tak ubrane…

– Wszystkie?

Kiwnął głową. Nie wiedzieć czemu, coś mi podpłynęło ku oczom i wokoło zrobiło się mętnie. Boć to będąc obywatelem brytyjskim, urodzonym w Montrealu – kochałem Starą Ojczyznę. Serce mi podpowiedziało prawdę; mimo słabej znajomości historii naszej, słusznie przeczuwałem, co to znaczy Żałoba Narodowa Polek. *Poise*, powiedziałem do siebie po angielsku, co oznacza: opanowanie, równowaga. Wytłumaczył mi wszystko o Pięciu Poległych i jak się ta żałoba poczęła. Przywołałem do siebie chłodek duchowy, śniegi Quebecu, Monitoby i preryj. Byłem niezadowolony, że wciąż mam mętnie w oczach.

– O, aj si! – rzekłem. I wtem niemal splunąłem. – Tfy, przepraszam… chciałem powiedzieć: o, ja widzę!…

Kaleczyłem jeszcze podtenczas język mych ojców. Tym się tłumaczy, że zamiast: ściany, powiedziałem przedtem woły, bowiem ściana po angielsku *wal*.

II

A kiedy odwiedziłem któregoś dnia Dzierzbiłłowicza (różana jowialna twarz i szare włosy), pokazał mi w puzderku parę małych pierścionków – raczej pierścioneczków, z wielkimi jednak brylantami, rubinami i innymi szlachetnymi kamieniami.

– Nigdym czegoś podobnego nie widział! – zawołałem zaciekawiony. – Takie malusieństwo… Czy to dziecinne?

Nawet na palec uszny nie mogłem żadnego z nich włożyć. Co prawda dwa były wyjątkiem: szerokością nadawały się co najmniej na kciuk. – Do czego, u psa, to pasuje? – spytałem.

– Do kobiecej nóżki – odpowiedział.

– Żarty!

A to akurat nie były żarty. Dowiedziałem się tedy, że któraś… któraś Jaśnie Wielmożna Dzierzbiłłowiczowa po Sejmie 1793 roku chodziła na bachanalie w Grodnie w złotych trepkach, jakby kapucyńskich, mając na każdym paluszku drogocenny pierścionek. I nie ona jedna w ten sposób błyszczała nogami… Obiady na 50 i więcej osób, iluminacja kosztująca koło tysiąca dukatów, wino lejące się wraz ze strumieniami łez i rozpaczy, tańce, rauty i wieczerze, w tym samym czasie, gdy uliczki (zanieczyszczone końskim gnojem i słomą) wypchane były kozakami i moskiewskim żołdactwem. Stara Ojczyzna pokazywała mi nie tylko swe umęczone lica, do niedawna przysłonięte okirzem, lecz i swoją nóżkę. Też historyczną.

Dzierzbiłłowicz i Baschalis mieli cały huk tego dziedzictwa – nie można o tym nie wspomnieć, chcąc ich scharakteryzować. Wszelakoż jako sprawozdawca muszę rozpocząć *ab ovo*. Nim dotoczę się do obiecanych scandalij, trochę jeszcze zużyję papieru. Opiszę to wszystko tak, jak to widzę – nie mymi ówczesnymi oczyma, lecz z dystansu lat.

Byłem świadkiem naocznym tego i owego. O innych rzeczach posiadam dość dokładne relacje. Pewnie, że w owych opisach wiele szczegółów dodaję od siebie – dopowiadam sobie, jak to było. Atoli dopowiadając coś, mam uczucie, że nie kłamię i że duchowe sylwetki, a nawet myśli bohaterów nie są przeze mnie przeinaczone i *summa summarum* odpowiadają faktom i prawdzie. A więc *ad majorem Dei gloriam*.

III

Padał deszcz. Właściwie – padały deszcze. Szare chmury, szary tynk i jezdnia. Różowe gonty. Miasto nazywało się Dzierzbiłłowice i można je odnaleźć na mapie, w okolicach pełnych jezior, gdzieś na pół drogi między Bydgoszczą a Wybrzeżem. W XVIII wieku było jeszcze wsią, należącą do Dzierzbiłłowiczów.

Sprawozdawca już w pierwszym zdaniu zaznaczył, że mieszkało w nim tylko dwóch ludzi godnych uwagi. Ale nie zaznaczył, z jakiego punktu widzenia. Szło mu o to, że obaj (i Dzierzbiłłowicz, i Baschalis) stanowili na tle dzierzbiłłowiczan moralny czy też niemoralny wyjątek. Byli pewnym psychologicznym paradoksem. Byli zagadnieniem i – zagadnienie poniekąd stworzyli. Tego nie można powiedzieć o innych mieszkańcach. Jednakże – dzierzbiłłowiczanie, tworząc tło, zostali w scandalie wciągnięci i siłą rzeczy muszą być też opisani. Żyły tam nawet typki wcale poza tym barwne.

Historycznie był to początek okresu międzywojennego, mniej więcej w parę lat po cudzie nad Wisłą, kiedy to jeszcze dochodziły ze Wschodu ostatnie eszelony z repatriantami i optantami, kresowiakami z Podola lub innej mińszczyzny, (a też i z dalekiego Kaukazu czy Syberii). Przywozili z sobą oprócz tobołków i kufrów śpiewność mowy, niekiedy upstrzonej cudaczną obcością (jakże ich pod tym względem rozumiem!). Owi rodacy porozmieszczali się, gdzie się dało, i między innymi piana tej fali patriotycznej dobiegła i do Dzierzbiłłowic (gdzie wsiąkła w szary piaszczysty grunt). Na przykład pani doktorowa Potkańska.

Doktorstwo Potkańscy, z Kijowszczyzny, byli snadź bardzo obrotnymi ludźmi, skoro udało im się powrócić do powstałej Niepodległej i Najjaśniejszej nie z tobołkami, lecz osobnym wagonem towarowym, do którego wpakowali co lepsze swoje meble, pianino z brzeziny karelskiej oraz dorodną córkę. Pono przywieźli też i trochę brylantów. W Dzierzbiłłowicach akurat był wakans – bo miejscowemu konowałowi się zmarło – i oto Potkańscy, niemal wprost z Bulwaru Bibikowskiego w Kijowie, znaleźli się wraz z bidermayerowskimi krzesełkami i stołem, z córką, pianinem i tam dalej, w czteropokojowym mieszkanku w szarym zaułku św. Jana, co zwolniło się po zmarłym konowale. (Pod oknami różowiały jarzębiny.) Praktykował dr Potkański (płucnik) w Dzierzbiłłowicach niestety niedługo, bowiem *hoc anno* oddalił się ku wieczności, w ślad za swym poprzednikiem. Przy św. Jana pozostała więc doktorowa z córką, słuchaczką romanistyki na uniwerku warszawskim, która przyjeżdżała do matki na ferie i o którą matka była zazdrosna. Mówiąc staroświeckim stylem, doktorowa była przepysznie rozkwitłą różą, podczas gdy Terenia była pączkiem. Żyły one skromnie, prawdopodobnie z resztek brylantów, boć to nie darmo co kwartał zjawiał się z Bydgoszczy w czarnym łapserdaku makler i odwiedzał doktorową przez kuchenne wejście.

Padały więc prawie nieustanne deszcze i była druga połowa września. Terenia zwichnęła sobie nogę (taka przynajmniej była wersja oficjalna), i wciąż jeszcze po letnich feriach zwlekała z powrotem ma uniwerek. Czy poznała przedtem Baschalisa, o tym sprawozdawca nie wie na pewno. Wszystko przemawia za tym, że tak. O podwieczorkowej porze w ciemnym przedpokoiku u pani doktorowej zabrzęczał dzwoneczek. Nie czekając na kucharkę, doktorowa sama otworzyła drzwi.

W klatce schodowej stał z ociekającym parasolem w ręku i w kaloszach Leopold Baschalis, którego dobrze znała z widzenia, lecz który jak dotąd omijał jej progi. Zarówno jak i Dzierzbiłłowicz. Obaj ci panowie zrazu nie udzielali się i unikali znajomości. Pani Zenobia (doktorowa) czuła się z tego powodu uszczypnięta. Więc twarz jej, przypominająca portret z epoki wojen napoleońskich (czesała się stylowo i rozmyślnie nosiła suknie o wysokiej talii, z dekoltem uwidaczniającym rowek między piersiami), więc twarz jej wpierw drgnęła i wyraziła: aach! – rozradowanie z powodu niezapowiedzianej wizyty. Wnet jednak uznała za potrzebne uśmiechnąć się z przekąsem.

Baschalis przedstawił się, przeprosił i zapytał, czy pozwoli mu, jako sąsiadowi, złożyć jej wyrazy swego uszanowania. W przedpokoju było pełno cieni. Baschalis wyłonił się z nich, już bez deszczówki, w szarym ubraniu i w krawacie koloru cegły. Nawet i tu była szarość i róż. Miał bardzo różowe wargi i jasnoszary wzrok. Jak niemal we wszystkich mizoginistach, mżyło w nim coś, co magnetyzowało kobiety. Z urody przypominał portrety Tadeusza Styki: wygolona, nowoczesna twarz intelektualisty, o nieco kobiecych rysach. Spodnie miał świetnie zaprasowane.

Mimo że nie wytłumaczył, czemu zwlekał z tą sąsiedzką wizytą tak długo (bo już od paru tygodni), Zenobia drowa Potkańska w końcu rozkrochmaliła się po kresowemu i dowiedziawszy się, że Baschalisowie mieli dobra też w tamtych stronach, wprowadziła gościa wprost do zastawionego stołu w jadalni. Na podwieczorek były kresowe placki z tykwy, czworokątne i źle zapieczętowane koperty z ciasta.

Terenia siedziała już za stołem. Nie zważając, że była młodziutką panną, Baschalis pocałował ją w rękę. Przywitali się w każdym razie tak, jak gdyby się nie znali i nigdy nie spotykali. Terenia, aczkolwiek jeszcze nie całkiem zachodnia (wciąż od czasu do czasu odzywały się w niej kresy), czesała się już *à la garçon*: krótkie włosy i grzywka na czole. Nie przypominała więc wojen napoleońskich, lecz raczej główkę Zmurki. Budowę piersi i ciemne, świecące się oczy miała po matce. Ta pierś! Nie będąc płaska, Terenia nie bardzo nadawała się do skrojonych po męsku żakiecików *tailleur*. Była to więc garsonka z uczesania, twarzyczki i obejścia. Piersi należały do innego stylu, co później też i zostało odpowiednio wyzyskane. Nie zabiegajmy atoli naprzód… Gdy w czasie podwieczorku Terenia wstała, by przynieść na stół popielniczkę, pokazało się, że jest w porannych pantofelkach z puszkami i że kostkę na jednej nodze ma obandażowaną elastycznym bandażem. Z lekka utykała. Za te pantofelki – przeprosiła gościa. Doktorowa zaś z miejsca uczuła zazdrość. Rywalizowała z córką.

IV

Cudaczna zmysłowość zapanowała w maluczkiej jadalni o tapetach *gris perle* i wiązance bladoamarantowych róż, stojących pośrodku stołu w szerokiej a płytkiej wazie. I matkę, i córkę pan Leopold zaczął z miejsca drażnić. Posiadał doskonałe zęby i niezwykły uśmiech, pełen czaru, i który na jego policzkach powodował dołki. Ale ani w tym uśmiechu, ani – zwłaszcza – w jego oczach panie nie widziały i nie czuły swej obecności: żadnej męskiej reakcji na ich urodę. Mizogini̇ści są niekiedy dla kobiety swoistym kuszeniem świętego Antoniego. Z tą różnicą, że takie kuszenie ich nie straszy, przeciwnie, napełnia przedsiębiorczością. Grzech z mizoginistą to tryumf dla kobiety. A właściwie jest to zwycięstwo męskości autentycznej nad męskością wątpliwą. Albowiem męskość mizoginisty pozostaje dla sprawozdawcy pod znakiem zapytania. Natomiast zwycięska kobieta zwyciężyła nad nim dlatego, że się zbudził w niej najprawdziwszy mężczyzna.

Przy stole, jedząc placki z tykwą, siedziały dwie panie: róża cokolwiek przekwitająca i róża pączek, jednak obie w tej chwili prawie że posiadały virilia. Zależało im chyba w równej mierze, aby w oczach tak drażniącego gościa wywołać połysk pożądania, ten komplement dla

ich warg, lic i talii. Prawdopodobnie wówczas by się nasyciły i powróciły do kobiecości. Lecz niedoczekanie! Szary, naprawdę piękny, wilgotny wzrok Baschalisa ani razu nie zawadził o gors córki garsonki ani też nie zatrzymał się na rowku między piersiami mamusi doktorowej. Były to oczy pełne uprzejmości, ogłady i wdzięku, atoli – pań w nich wciąż nie było.

Doktorowa, jak rzekłem, straciła męża, znacznie od niej starszego, przed niecałym rokiem. W Kijowie, na Górce Włodzimierzowskiej w czasie koncertów na otwartym powietrzu (a była bardzo muzykalna) wlókł się za nią sznur kresowiaków, którzy jawili się na te koncerty nie tyle po to, by posłuchać modnego Skriabina, ile by się spierać o względy modnej drowej Potkańskiej. Niczym u wysoce cenionego typu jelenia, na łysej głowie starego płucnika kijowskiego rosły całe rozwidlenia rogów. Nie wypada tej materii zanadto zgłębiać. Zresztą sprawozdawca nawet się nie domyślał, w jaki sposób po powrocie do Kraju pergaminowy staruszek sam jeden zaspokajał wymogi swej rozkwitłej róży, przyzwyczajonej do rąk wielu ogrodników. Pono wykończyła go cieleśnie, wymagając odeń nieustannej pielęgnacji swych płatków. Ledwie nieledwie się słaniał na nogach, jak mówiono, z florikulturowego, ogrodniczego wycieńczenia. Były to już resztki po normalnie ongi zbudowanym mężczyźnie, pergaminowe mizeractwo, które z pewnością zdrowiem przypłaciło szczytne usiłowania spełnienia obowiązków małżeńskich aż do końca. Do tych usiłowań był szkaradnie… popędzany – doktorowa mało że nie z rewolwerem w ręku stała nad nim w swej koronkowej koszuli nocnej, raz z wieczora, a drugi raz o świcie.

I oto, za te wszystkie tortury, konający z winy cudzej sensualności staruszek (nie broniony przez prawo), w ciągu ostatnich miesięcy nie posłyszał z ust róży ani słówka uznania. Ostatnio róża miała same kolce. Doktorowa traktowała go jak szmatę – trudno o większą fizjologiczną pogardę. Służąca słyszała, jak nawet w nocy pohukiwała na niego.

No bo i czasy się stety i niestety odmieniły, i zamiast Górki Włodzimierzowskiej były szaro-różowe Dzierzbiłłowice, stadko krów wracające uliczkami i długie parkany. Proszę sobie wystawić, jaki kontrast: tu krowy – a tam ciemnoszafirowy wieczór kijowski, gwiazdy, kwietniki i drzewa na wzniesieniu, pod którym pienił się Dniepr i gdzie wznosił swój iluminowany krzyż posąg św. Włodzimierza. Oświetlony stateczek przybijał właśnie z jakichś Czerkas. Tony modnego Skriabina, wraz z jego dekadencką ekstazą, wypływały z muszli koncertowej i głaskały muzykalne ucho doktorowej, namawiając do praktycznej interpretacji tych ekstaz, do czynnego wprowadzania ich w życie. Z tyłu za muszlą ciemniał wilgotny obszerny ogród z rezydencją cesarzowej matki, z pewnością polakożerczyni – ale na podobne fakty Polacy z Kijowa patrzyli niczym ranni, którzy to – acz nie pogodziwszy się ze swymi ranami – otrzaskali się już jednak z ich strasznym krwawiącym widokiem.

Wielorogi małżonek dr Potkański na koncerty nie uczęszczał, prawdopodobnie biedaczysko cieszyło się, że wyręczają go w tym aż nadto gorliwie kresowiacy – hreczkosieje. Po koncercie i po Skriabinie następowały florikulturowe i tam dalej zabiegi przez kolejnego spośród nich szczęśliwca. Cóż to były poza tym za chwiejne czasy! Acz zza kordonu, z zaboru austriackiego, docierały poezje Micińskiego (który sam się zresztą na Wschodzie znalazł), oraz reprodukcje Mehoffera i Jacka Malczewskiego, chociaż dolatywał stamtąd śmiech Zielonego Balonika – w Kijowie dokonywał się nieco podejrzany dla ówczesnej polskości aliaż. Wprawdzie we wszystkich kioskach na dworcach widniały żółte tanie książeczki: rosyjski przekład *Chłopów* oraz po całej Rosji hulała na czerpanym papierze zruszczona *Synagoga szatana* (autor jej tam się również w tym okresie znalazł) – ale za to do domów polskich przedostały się wiersze *Jam geniusz Igor Siewierianin*, tudzież *Wasze palce pachną kadzidłem* Wiertińskiego bądź romans Prze*kwitły już dawno chryzantemy w ogrodzie*... Mimo to i mimo że Najjaśniejsza otworzyła swe ramiona dla wiernej kresowej rodziny Potkańskich, doktorowa ni rusz nie mogła zapomnieć Kijowa z jego ogrodnikami.

Boć to przecie z Górki Włodzimierza trafiła w błoto i szarugę Dzierzbiłłowic, z różowym okiem semaforu na stacji. Takie oko znaczyło, że droga stąd była zamknięta.

I oto śród tych krów, deszczu i jarzębin jawił się u nich osobiście uroczy Leopold Baschalis.

V

Pochwalił tykwiane placki. Ocenił, że śmietanka do kawy była z brązowym kożuszkiem.

– Pan wspominał, że się uczył w Kijowie? – spytała go. Ukradkiem poszerzyła dekolt; Terenia uśmiechnęła się.

– Ooo… – odmachnął się ręką, na której widniał sygnet z herbem Baschalisów, o tarczy przeciętej wpół. – Nigdy nie miałem zamiłowań do nauk (roześmiał się miękko i z wielkim szarmem). Ukończyłem zaledwie dwa lata w Instytucie Górniczym… Nawet sam nie wiem dobrze, czemu to zrobiłem. Potem się połapałem i przestałem… U nas w rodzinie uznawano tylko jedną naukę…

– Może rolnictwo? – spytała pani Zenobia.

– Naukę, jak trzeba żyć nic nie robiąc, a zarazem się nie nudząc, proszę pani… To wcale nie takie łatwe, to trzeba umieć…

Doktorowa przypomniała sobie ostatnie miesiące swego życia, i zrobiło się jej wstrętnie. Powłóczystym spojrzeniem odszukała jego niereagujące oczy.

– Och… jak bym pragnęła, aby pan mnie kiedyś tu, w Dzierzbiłłowicach tego nauczył… – Miała wrażenie, nawet pewność, że córka jej przeszkadza. Dodała więc, jakby mimochodem: – Nie mogę patrzeć, jaka jesteś nieuczesana, Tereniu. Pójdź lepiej i przyjrzyj się w lustrze. Można pomyśleć, że masz nie umyte włosy, takie są matowe… – i dłonią, niby to czule, jeszcze bardziej rozwichrzyła jej grzywkę na czole, by zbrzydła.

– Ależ z najmilszą chęcią – posłyszała odpowiedź Baschalisa – miło mi będzie mieć taką uczennicę. Chętnie, choćby dziś rozpocznę swe wykłady. Jeżeli… Jeżeli…

– Jeżeli co? – spytała doktorowa.

– Jeżeli i pani mnie za to czegoś nauczy.

Spojrzenia ich spotkały się, i chociaż wzrok Baschalisa niczego nie przyobiecywał, uczuła się trochę zbałamucona. A może on tylko maskuje swój temperament? – pomyślała. Ku jej uldze, a też i zdziwieniu, córka posłusznie wstała i z lekka powłócząc mogą wyszła do swej sypialni. Sprawozdawca nie wie na pewno – ma jednak podstawy do tego, by przypuszczać, że rozmyślnie pozostawiła mamusię sam na sam z gościem. W swej sukni, przypominając Józefinę Beauharnais, doktorowa tedy wstała również i zaprowadziła pana Leopolda do saloniku. Otworzyła przed nim pudełko cygar, jakie pozostały po nieboszczyku płucniku.

Stały tam brzozowe mebelki, pamiętające jeszcze Kijów, (a także i Fastów – podkijowskie letnisko – gdzie Potkańscy mieli willę), a obite już przetartym adamaszkiem, oraz przyciężkie pianino, na którym bielały rozwarte nuty. Za oknami wciąż padało i widać było płot z naprzeciwka. Na prośbę gościa zagrała i zanuciła przyjemnym kontraltem coś – chyba cygańskiego – o tym, że „siedzisz u kominka i patrzysz z tęsknotą, jak ogień w nim dogorywa!…" Na dzierzbiłłowickim tle brzmiało to cośkolwiek niezrozumiale. Jako że jednak pan Leopold też był z kresów, nie dojrzał w tym żadnej nadzwyczajności. – Ba, ba, ba! – rzekł tylko. I z jakichś względów roześmiał się.

Czego go mogę nauczyć? o czym to on mówił, że mogę go czegoś nauczyć? myślała tymczasem. Przez chwilę biegała jeszcze w ruladach po klawiaturze, pokazując mu swe doprawdy kuszące a gołe łokcie i ramiona. Po czym odwróciła się, cała stylowa i omłodniała.

– A więc? – spytała i poruszyła jedną brwią. (Nieobecna córka już jej nie zawadzała.)

I tu właśnie rozpoczęły się pierwsze scandalie.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI